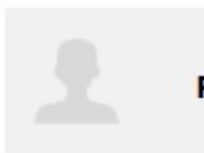


Adaptacja adopcyjna

Dziecko, reż. Martyna Lyko, Teatr Współczesny w Szczecinie



PIOTR DOBROWOLSKI

AA



Fot. Piotr Nykowski

Na ulicach i placach polskich miast wybrzmiały już okrzyki kobiet domagających się wolności do podejmowania decyzji dotyczących ich własnych ciał i możliwości świadomego kształtowania własnej przyszłości. Jednak na wspomnienie propozycji dalszego zaostrenia prawa aborcyjnego wielu mieszkańców kraju wciąż odczuwa wzburzenie łączące się z niepokojem. Nad Polską nadal krąży widmo przymusu donoszenia każdej ciąży i rodzenia niezależnie od stanu zdrowia płodu; z ograniczonym dostępem do badań prenatalnych, antykoncepcji i bez edukacji seksualnej.

Bez respektowania zasad wdrażanych przez lata pod hasłem „Rodzić po ludzku” i bez wsparcia programu *in vitro*, za to z 500+ na pocieszenie. Państwo walczy o zwiększenie przyrostu naturalnego, wykorzystując strategię wpadki. Motywowany religijnie etyczny szantaż, któremu w sferze rodzicielstwa poddawani jesteśmy od dawna, przybiera na sile.

Tymczasem *Dziecko*, dramatyczny debiut Ingi Iwasiów, prezentuje problem dietności z drugiej strony. Niemal w ogóle nie dotyka wspomnianych spraw, a jeśli – to tylko *à rebours*. Główni bohaterowie sztuki to para starająca się o upragnione dziecko. Jej motywacje pozostają w sferze domysłów, nie tłumaczy ich tekst ani jego inscenizacja. Być może realizatorzy spektaklu uznali za oczywiste, że dwie żyjące ze sobą heteroseksualne osoby w pewnym momencie odczuwają pragnienie, by zostać rodzicami. Zostaje ono wyrażone zdecydowaną konstatacją Marka stwierdzającego wprost: „my potrzebujemy dziecka”. Potrzebują? Do czego? Odniosłem wrażenie, że relacja Marka i Marty przechodzi kryzys. Czy chęć zostania rodzicami motywowana jest przez jakieś problemy w związku? Nawet jeśli ciąg przyczynowo-skutkowy byłby odwrotny, a przyczyną nieporozumień było niepowodzenie prokreacji, nadal wydaje mi się, że autorzy spektaklu dopuszczają traktowanie dziecka jako środka zażegnującego spory. Chociaż na scenie w żadnym momencie nie jest to artykułowane dosłownie, samo przecucie budzi moje wątpliwości. Nie jedyne, z którymi wyszedłem z prezentowanego w Teatrze Współczesnym w Szczecinie spektaklu w reżyserii Martyny Lyko.

Dekoracja ustawiona w niewielkiej przestrzeni scenicznej Malarni przypomina wystrój studia popularnego przed laty teleturnieju Koło Fortuny. Charakterystyczne, białe, obrotowe prostokąty mogłyby znaczyć litery ukrytego hasła, które należy odgadnąć. Czy jego dłuższy wyraz to „dziecko”? Tego, podobnie jak brzmienia trzech liter poniżej, nigdy się nie dowiemy. Ciekawy pomysł scenograficzny Mikołaja Małka otwiera przed publicznością pole do domysłów, które nie zostaną zaspokojone. Nie szkodzi. Od samego początku, zanim jeszcze po odwróceniu pierwszych prostokątów okaże się, że kryją one używane na scenie rekwizyty, zastanawiamy się, jaka jest stawka w tej grze. Możliwą odpowiedź sugeruje tytuł spektaklu. Jako gracze prezentowane są pary starające się o adopcję. Role rozgrywających przyjmują urzędniczki, terapeutki i pracownice fundacji, które władne są umożliwić im realizację zamierzonego celu. Warunkiem jest jednak spełnienie wszystkich, ustalonych odgórnie, choć podlegających także ich interpretacji, kryteriów. A to nielatte. Nie należy ujawniać żadnych wątpliwości, na wszystkie pytania odpowiadać właściwie, mieć odpowiednią przeszłość i należyty stosunek do wiary. Adopcja wymaga adaptacji.

Reżyserując spektakl Martyna Lyko w dość zaskakujący, nie zawsze zrozumiały sposób łączy konwencję komediową z praktyką teatru zaangażowanego społecznie, a nawet interwencyjnego. Ukazanie kolejnych prób zażegnania dramatu bezdziejnej pary – Marka (Michał Lewandowski) i Marty (Ewa Sobczak) – staje się pretekstem do komicznego zobrazowania stereotypowych postaci, które pojawiają się w tle, choć często przenikają też na pierwszy plan. Prezentacja przeplata się z krytyką biurokracji organizującej pracę ośrodków adopcyjnych i ośmieszaniem bezdusznych urzędniczek, ukrywających obłudę pod maską profesjonalizmu. W jednej z pierwszych scen pojawiają się niedoszli ojcowie (obok zestresowanego Marka: cyklista – Przemysław Walich i dowcipniś – Paweł Adamski) czekający na swoją kolej w ośrodku diagnozowania – a może leczenia? – męskiej bezpłodności. Pielęgniarka (Iwona Kowalska) informuje ich o opóźnieniu związanym z awarią pilota do telewizora, którego traktuje niczym seksualny fetysz. Prezentując dziwną nadekspresję mimiczną, poleca pacjentom, żeby się „przygotowali” bo w tym, czego się od nich oczekuje (nadal nie wiem, co to takiego) ważny jest „rytm”. W odpowiedzi na tę radę mężczyźni zaczynają trenować bicepsy, nieustrudzenie, przez dłuższą chwilę poruszając przedramionami. Kiedy (prawdopodobnie w wyniku pomyłki) w zajmowanej przez nich poczekalni pojawia się Starsza Kobieta (kolejna pobudzona seksualnie postać kobieca grana przez najbardziej zabawną w tej scenie Krystynę Maksymowicz), gesty, mające być może symbolizować pracę nad erekcją, wywołują zażenowanie wykonujących je mężczyzn. Cała, zbyt długo ciągnąca się i prowadząca donikąd, sekwencja zbudowana jest na dwuznacznościach. Ich niezbyt wyszukany humor bawi tylko garstkę widzów.

Jedyną osobą na scenie, która nie uczestniczy w takich – zabawnych jakby na siłę – sytuacjach, jest Marta. Brak szans na naturalne macierzyństwo przepelnia ją gorczą smutku i powagi. I choć grającej tę rolę Ewie Sobczak zdarza się czasem zbyt wyraźne operowanie przerysowanym gestem i dobitnie mocnym tonem, z powodzeniem udaje jej się stworzyć najciekawszą, najbardziej dramatyczną postać spektaklu. Wobec wścibskich i niezrozumiałych pytań pojawiających się w ankietach adopcyjnych pozostaje cierpliwa, ale tylko do czasu (i granic ludzkich możliwości). Jeśli zdarza jej się zezłościć na partnera – szybko znajduje argument, żeby się rozchmurzyć. W chwili kryzysu decyduje się (razem z Markiem) na podjęcie desperackiego kroku... zakupu alkoholu (o którym – jak na małżeństwo dorosłych Polaków – mają niewiarygodnie małą wiedzę). Stojąc samotnie pod sklepem – cierpliwie, ze zrozumieniem i rosnącą ciekawością – wysłuchuje opowieści starszego pijacka (Marian Dworakowski), który, korzystając z własnego doświadczenia, doradza jej, by „część się kochać”. Stwierdzeniu temu towarzyszy powtórzony kilkukrotnie, znaczący ruch placem. Mam wrażenie, że reżyserka – nie pierwszy i nie ostatni raz w tym spektaklu – obawiała się, że bez tego typu dosadności publiczność nie zrozumie żartu. Pomimo otaczającej ją tak grubej kreski, Ewie Sobczak udaje się subtelnie rysować zarówno nadzieje swojej bohaterki, jak i gwałtownie nadiągającą świadomość niepowodzeń. Tworzy przekonującą postać – jedyną w tym spektaklu, której motywacji można się domyślać. Towarzyszące jej aktorki i aktorzy mają trudniejsze zadania: tekst nie wyjaśnia położenia ich bohaterów, a dodatkowo (poza Michałem Lewandowskim) muszą wcielać się w kilka różnych ról, co utrudnia pogłębioną kreację osób dramatu.

Inga Iwasiów to literaturoznawczyni, ale także autorka, której zdarza się znakomicie wyczuwać nastroje i oczekiwania potencjalnych czytelników jej prozy. Dlatego zdziwiłem się, że dzisiaj, kiedy najbardziej ożywiona społeczna dyskusja toczy się w całkiem innych obszarach, wybrała adopcję jako temat swojego dramatycznego debiutu. Refleksja przyszła szybko – przecież problemy bezdziejnych związków są ponadczasowe. Podczas gdy oficjalne komunikaty i kolejne ustawy akcentują dbałość o dobro dzieci, biurokratyczne procedury sprawiają, że często muszą one długo czekać na przybranych rodziców. Równocześnie, pomimo wnikliwej weryfikacji sytuacji par starających się o dziecko, co jakiś czas kraj obiegają wieści o przemocy i wykorzystywaniu podopiecznych rodzin zastępczych. Szczeciński spektakl skupia się jednak na innych aspektach sprawy. Jego najbardziej znaczący wątek ujawnia się w pytaniu Marty o prawne możliwości rozwiązania adopcji. Jest ono szczególnie ważne na tle wspomnianych niepełnosprawności dzieci czekających na adopcję: ślepoty, FAS, RETT. Czy małżeństwo, któremu kibicujemy i którego trudności śledzimy, nie traktuje przypadkiem dziecka jak towar? Czy ich oburzenie, kiedy pojawia się propozycja kupna noworodka, nie jest tylko pozą?

Chociaż po obejrzeniu *Dziecka* wszystkie te pytania pozostają w pamięci, przysłania je krytyka biurokracji, użycie słowa „gender” i kilka aluzji do szaleństw współczesności ukazanych w obsesji urzędników, starających się działać „zgodnie z nauką Kościoła” (ślub „oczywiście” kościelny, deklaracja gotowości do „adopcji duchowej” i „dźwigania krzyża”). A to – wobec nadmiernej rozpiętości stylu, nieco nacięganego komizmu, stereotypowego traktowania postaci i niepotrzebnego przedłużania scen – nie wystarczy, by widowsko Martynę Lyko uznać za całkowicie udane. Większość aktorów próbuje ratować spektakl przerysowaną stylizacją postaci. Przypominają tym Martę i Marka, którzy w łóżku nie stronili podobno od „dopingu”. Wysiłek zespołu można odnieść do efektów działań niedoszlęgo ojca, który słowami: „stosowaliśmy wszystkie możliwe, zabronione metody”, opisuje własne doświadczenia prokreacyjne.

20-01-2017

GALERIA ZDJĘĆ

DZIECKO, REŻ. MARTYNA LYKO, TEATR WSPÓŁCZESNY W SZCZECINIE



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr Współczesny w Szczecinie

Inga Iwasiów

Dziecko

reżyseria: Martyna Lyko

scenografia i kostiumy: Mikołaj Małek

choreografia: Tobiasz Sebastian Berg

muzyka: David Kollar

premiera: 06.01.2017

TAGI: Inga Iwasiów, Martyna Lyko, Szczecin, Teatr Współczesny,

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

dwa plus trzy jako liczbę:



KOMENTARZE (0)